

Wnioski płynące z V tomu „Dziejów Polski”

Opozycja totalna była nieszcześciem już kilka wieków temu

Prof. Andrzej Nowak

W 1588 roku ustanowiono w Rzeczypospolitej prawo *de perduelionis*, czyli o zdradzie. Po raz pierwszy w naszym prawie zbrodnia zdrady kraju została postawiona na równi ze zdradą lub obrazą majestatu samego króla. Tak w ustawie zdrada została zdefiniowana: „gdyby kto czynił bunt przeciwko Rzeczypospolitej, porozumiewając się z nieprzyjacielem Koronnym ku szkodzie Koronnej, wynosił tajemnice Rzeczypospolitej, zwierzone nieprzyjacielowi Koronnemu, poddał mu zamek na zmowie, wzruszał *pacta & foedera* [pakt i przymierza] z postronnymi Paną, rebelią *facto* [bunt czynem] pokazując, albo którykolwiek inny występek popełnił,

któryby właśnie był *contra Rempublicam* [przeciw Rzeczypospolitej]”. Oskarżenie miał wnosić z urzędu instygator, najwyższy urzędnik koronny, powoływany od 1557 roku na funkcję odpowiadającą dziś prokuratorowi generalnemu. Miał opierać się na przechwyconych dokumentach zdrady. Jeśli nie było dokumentów, sam donos nie wystarczył, ale musiał w procesie wziąć udział delator – czyli ten, kto donosił o popełnieniu przestępstwa. W razie nieudowodnienia winy delator ponosił karę równą tej, jaka zagrażała oskarżonemu. Chodziło tu o zabezpieczenie przed nadużywaniem oskarżenia o zdradę dla rozprawy z przeciwnikami politycznymi.

Sprawa dotyczyła sytuacji, kiedy Rzeczpospolita była jakby rozdwojona po elekcji, w której część wyborców poparła kandydata habsburskiego Maksymiliana, ale większość legalnie przeprowadziła wybór Zygmunta III Wazy. Po śmierci Stefana Batorego trwała faktycznie wojna domowa. Koniecznym stało się ustanowienie prawa, które by określało ten moment, od którego kończy się spór polityczny związany z wyborami, a zaczyna zdrada Rzeczypospolitej, zdrada króla, zdrada stanu. Dopóki wybieramy, możemy się różnić w opiniach, kto ma być głową państwa, ale kiedy władca zostaje ostatecznie zatwierdzony prawnie, to dalsze opieranie się i buntowanie przeciwko niemu winno być karane, i to surowo. Zwłaszcza nieuznawanie legalnie zatwierdzonej głowy państwa w oparciu o pomoc materialną, a nawet i zbroją, obcych mocarstw musiało być nazwane zdradą. Niestety w praktyce na nazwaniu problemu się skończyło. Zdrada rzadko była karana.

U jawnił się wtedy problem, który do dzisiaj nam jakoś niesztety towarzyszy. Mianowicie opozycja była na tyle silna, że wbrew niej – przynajmniej takie było wtedy wrażenie – nie dało się swobodnie, choć oczywiście z poszanowaniem praw, rządzić w Rzeczypospolitej. Co to oznaczało? Popierający wcześniej Habsburga wojewodowie czy kasztelanowie albo też ci, którzy popierając nawet kandydaturę

Gdańsk – okno Rzeczypospolitej na świat, był ważnym portem handlowym. Gustaw II Adolf pragnął odebrać Polsce tak znaczące strategicznie i gospodarczo miasto. Port nad Motławą namalowany przez Wojciecha Gersona. Fot. Wikimedia



Zygmunta III, uważali, że nowy król za mało im się „odpłacił” intratnymi nadaniami czy urzędami – stworzyli potężną opozycję. Elekcja 1587 roku wyniosła na tron młodego Wazę, ale przerodziła się, jak wiadomo, w wojnę domową. Żeby ją szybko zakończyć, nie można było zastosować represji przeciwko tym, którzy spiskowali (głównie z dworem habsburskim) przeciwko Zygmuntowi III. Wobec osób, które po elekcji nadal prowadziły działalność przeciwko młodemu królowi, a zatem i przeciwko Rzeczypospolitej, zrezygnowano z jakichkolwiek retorsji, ponieważ dysponowały one wielkim poparciem w swoich województwach. Stosowne prawo wprowadzono, ale zdrajców karano tak samo, jak i dzisiaj, czyli wcale.

Smutnym dziedzictwem już epoki zygmuntońskiej, a więc czasów Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta, było zjawisko przyjmowania stałej pensji, najczęściej od Habsburgów, przez wiele wpływowych osób na dworze. Należał do nich np. wojewoda Olbracht Łaski, który jak wielu brał pieniądze, także właśnie od dworu habsburskiego. Nie chodziło reszta w tym przypadku tylko o rodzaj pensji, o której wszyscy wiedzieli, ale o całe subwencje na wyprawę zbrojną do Mołdawii, gdzie Łaskiemu zamarzyło się zostać samodzielnym władcą. Działo się jednak coś jeszcze gorszego. Otóż Olbracht Łaski jeszcze za panowania Stefana Batorego prowadził negocjacje z posłami cara Iwana Groźnego, w których namawiał go do uderzenia na Polskę wspólnie z Habsburgami, aby zniszczyli znienawidzonego przezeń króla. To, iż Rzeczpospolita przy okazji musiałaby mocno ucierpieć, może nawet upaść, było nieważne. Grunt, żeby nasze, czyli opozycji, było na wierzchu. Listy Łaskiego do cara zostały przechwycone. Wiedzę na ten temat mają nie tylko historycy w XXI wieku; ta korespondencja była znana królowi i jego dworowi. I co? I nic.

Olbracht Łaski miał na sumieniu zdrażdzieckie czyny, a jednak Stefan Batory nie zdecydował się nawet odsunąć go od siebie. Przyjął bez żadnych konsekwencji Olbrachta Łaskiego do swego otoczenia. Ten zaś uznał, że już nie ma szans opierać się dalej na Habsburgach, że Batory pozostanie jednak królem, więc trzeba zmienić front. A przecież, jak wspomnieliśmy, Łaski spiskował nawet nie tyle z dworem habsburskim, co z Moskwą. To była zasadnicza różnica, ponieważ Habsburgowie nie byli przeciwko Rzeczypospolitej jako takiej, to był po prostu rywal w walce politycznej o tron. Zupełnie co innego Moskwa – ta była oczywistym rywalem państwa, nie króla Zygmunta III, tylko Rzeczypospolitej. Iwan Groźny jasno mówił, czego chce: chce Kijowa, chce większości ziem dawnego Wielkiego

Księstwa Litewskiego, czyli teraz już należących do Korony ziem ukraińskich, chce, krótko mówiąc, rozbiór Rzeczypospolitej. Spiski z kimś takim były traktowane pobłażliwie – to nie wróżyło dobrze na przyszłość, także na daleką przyszłość. Zdrada nie znajdowała kary, chociażby potępienia.

Bezkarność polityczna w państwie utwierdziła się niestety, kiedy Jan Zamoyski – który tak wielkie zasługi położył w czasach Stefana Batorego – uznał, że jest tym, który *de facto* wyniósł na tron Zygmunta III. Nie było to wcale jego celem przed elekcją, miał bowiem innego kandydata, siedmiogrodzkiego księcia należącego do rodu Batorych, ale ostatecznie opowiedział się za synem szwedzkiego władcy Jana III Wazy oraz polskiej królowej Katarzyny Jagiellonki. Uważał jednak, że jemu należy się faktyczna władza w kraju; nie król, ale on ma rządzić, on, hetman i kanclerz wielki. Król tymczasem chciał rządzić razem z sejmem i z senatem, czyli zgodnie z prawem, a nie oddawać władzę hetmanowi. Jan Zamoyski postanowił wówczas wykorzystać całą demagogię antypaństwową przeciwko bardzo niepopularnemu monarsze. Od początku lat dziewięćdziesiątych XVI w. to Zamoyski rodmuchał na nowo w społeczeństwie szlacheckim pogląd, że głównym wrogiem dla obywateli jest król, jest własne państwo.

Oczywiście można spytać, skąd taka niechęć do króla, którego niedawno szlachta sama wybrała. Przyczyny były dwie. Jedna strukturalna, głębsza, wywodząca się z ruchu egzekucyjnego, z połowy wieku XVI. Przypomnijmy, że był to ruch obywatelski średniej szlachty, który w czasach Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta zmierzał do zreformowania państwa, usprawnienia funkcjonowania wojska, sądownictwa, skarbowości. Długo czas borykał się z niechęcią kolejnych monarchów, ale w ostatnich latach panowania Zygmunta Augusta nastąpiło bezcenne dla Rzeczypospolitej porozumienie pomiędzy ruchem szlacheckim – można by go nazwać demokratycznym – a monarchą, które zaowocowało bardzo ważnymi reformami, przede wszystkim unią lubelską.



Samuel Zborowski, skazany na banicję za zabójstwo politycznego oponenta, początkowo chciał zmazać swoją winę wierną służbą Rzeczypospolitej. Dopuścił się jednak zdrady, samowolnie prowadząc wyprawę na Mołdawię. Wówczas król Stefan Batory skazał go na ścięcie. Obraz Władysława Łuszczkiewicza. Fot. MNK

Jednak, można powiedzieć, strukturalna nieufność wobec króla, owo przekonanie, że to on stoi na przeszkodzie swobod obywatelskich, że zagraża bezpieczeństwu przywilejów szlacheckich, przeniosła się w jakiś sposób w czas Zygmunta III. Tę niechęć spotęgował właśnie Jan Zamoyski, choć wcześniej, w okresie panowania Stefana Batorego, robił co mógł, żeby nastroje antykrólewskie spacyfikować i nawet, przypomnijmy, doprowadził do ścięcia w 1584 r. swojego rywala, czyli przedstawiciela rywalizującego z nim rodu Zborowskich. To miało być ogólnym ostrzeżeniem dla opozycji w Rzeczypospolitej: jeżeli przekraczacie granice prawa – a Samuel Zborowski rzeczywiście przekroczył prawo – to grożą wam najwyższe konsekwencje. Ale prawo działało wybiórczo: Zborowski został ścięty, a Olbracht Łaski paradował obok króla Stefana...

Tak było za Batorego. Kiedy zwoleńnicy Maksymiliana zbrojnie próbowali osadzić Habsburga na tronie w Krakowie, miasto wybroniło się, kiedy zaś doszło do ostatecznego rozstrzygnięcia militarnego pod Byczyną (24 stycznia 1588), to w bitwie dowodził



Hetman Jan Zamojski odniósł pod Byczyną błyskotliwe zwycięstwo nad arcyksięciem Maksymilianem III Habsburgiem – rywalem króla Zygmunta III Wazy. Jednak, mimo niewątpliwych zasług, Zamojski daleki był od lojalności wobec monarchy, pragnął bowiem pełni władzy. Król i hetman pod Byczyną na obrazie Jana Matejki. Fot. sanktuarium-cieszecin.pl

wojskami królewskimi nie kto inny jak Jan Zamojski. Hetman króla obronił, ale ten zdaniem potężnego magnata powinien być tylko marionetką w jego rękach. Tu jest właśnie druga przyczyna tego tragicznego zjawiska zupełnego niepodporządkowania się legalnie obranemu monarche: hetman wielki i kanclerz w jednej osobie uznał, że faktyczną władzę powinien sprawować on, Zamojski. Nie chciał już tylko dostojęstw i gigantycznych majątków (choć te skrzętnie zbierał do końca życia), lecz pełnię władzy.

Mówi się, że Zygmunt był bardzo młody, kiedy zasiadał na polskim tronie. To jednak nie oznacza, że był za młody. Miał 22 lata. Dwudziestoparolatkom w Rzeczypospolitej nadawano najwyższe urzędy: hetmanów (pólnych), podkanclerzych. W Polsce młodzi ludzie byli przygotowywani do tego, żeby być dobrymi obywatelami; głównie poznawali historię swojego kraju i poznawali prawa; to był fundament ich edukacji. Poznawali oczywiście i inne dziedziny, np. języki obce, ale celem zasadniczym było przygotowanie obywatela do służby państwu i społeczeństwu. No i naturalnie kształcili się w wierze – w takim jej wariantcie, w jakim sobie wtedy wybrali. Jak wiadomo, to były różne warianty; mniej więcej połowa ziemiaństwa w momencie, kiedy wygasła dynastia jagiellońska, przynależała do niekatolickich

wyznań. Po Soborze Trydenckim nastąpił jednak stopniowy powrót do wiary rzymskokatolickiej.

Zygmunt Waza był świadomie przygotowywany przez swoją matkę, przypomnę: siostrę Zygmunta Augusta, do tego, by mógł kiedyś objąć tron w Polsce. Miał nauczycieli, którzy m.in. specjalnie pod tym kątem uczyli go polskiej historii, w tym mówili mu także o wielkich tradycjach militarnych Królestwa Polskiego. Poznawał polskie prawa. Cały czas był kształcony, a uczniem był pojętym. Został jak najlepiej przygotowany do sprawowania rządów. No, ale Zamojski był człowiekiem niezwykle ambitnym i uważał, że to on ma takie zasługi dla Rzeczypospolitej i jest tak ważny, że ta „niema małpa”, jak nazwał Zygmunta III, powinna rządzić tylko formalnie.

Warto wyjaśnić, skąd się wzięło to nieprzyjemne określenie „niema małpa”. Otóż kiedy Zygmunt III wjeżdżał do Krakowa po długiej, wielotygodniowej podróży ze Szwecji, przez Gdańsk i potem całą Polskę, to witający go w Krakowie przed koronacją Jan Zamojski przygotował ogromne dekoracje wokół murów miejskich i na królewskiej drodze na Wawel. Świadczyły one o wielkości jednego człowieka, to jest Jana Zamojskiego. Gdzieś tam jest jakiś mały Zygmunt III, ale prawdziwie wielki jest przecież tylko jeden człowiek w tym państwie: hetman.

Objazd wokół murów, i zarazem prezentacja triumfu Zamojskiego, a potem przejazd przez Kraków od kościoła św. Floriana do Wawelu trwał kilkanaście godzin. Od wczesnego ranka do nocy. Zygmunt III i tam, na zamku królewskim, musiał wysłuchać rozwlekłego przemówienia Jana Zamojskiego, który mówił znowu o swoich wielkich zasługach. Na to wszystko odpowiedział Zygmunt III grzecznie, ale zwięźle, bo po ludzku miał już dość. Zamojski był tym zbulwersowany. Jak to, to on wygłosił taką wspaniałą mowę, a król odpowiada tak zdawkowo?

Sztuka oratorska w ówczesnej Polsce była w wysokiej cenie. Nie kiedy przechodziła jednak w pustosłowie, w gadulstwo, którego nowy król nigdy nie cenił. Dodajmy zresztą, że Zygmunt III w odróżnieniu od dwóch swoich poprzedników mówił doskonale po polsku. Henryk Walezy, jak wiadomo, nawet nie próbował się nauczyć po polsku, podobnie jak Stefan Batory, który ani przez chwilę nie miał tego zamiaru. Łacina mu wystarczała. Natomiast elementem przygotowania Zygmunta III do sprawowania władzy było również nauczanie się płynnej polskiej mowy, co m.in. ksiądz Piotr Skarga od razu docenił, kiedy spotkał Zygmunta III po raz pierwszy w Krakowie.

Zamojski starał się uprzykrzać życie Zygmuntovi III, jak tylko się dało. Przeko-

nywał go, że właściwie nie da się rządzić w Rzeczypospolitej. Jeżeli chciałby utrzymać swój tron dziedziczny w Szwecji, to Rzeczypospolita nie tylko mu nie pomoże, ale będzie traktowała to jako zamach na swoją wolność. Bo przecież gdyby faktycznie uzyskał tron w Szwecji po ojcu, to stanie się od razu panem absolutnym, bo tam taki system rządów jest obowiązujący. Dysponowałby zasobami drugiego królestwa, co pozwoliłoby mu narzucić absolutystyczne rządy także szlachcie polskiej... W takim przekonaniu Jan Zamoyski edukował szlachtę, przekonywał ją do tego, że głównym niebezpieczeństwem dla niej jest silna władza króla.

Warto się zastanowić: jak w tamtych czasach można było przekonywać obywateli tak rozległego kraju jak Rzeczypospolita? Nie było telewizji, nie było radia, nie było internetu... Zasadniczą rolę odgrywały pisma w formie listów. Archiwum samego tylko Jana Zamoyskiego obejmuje kilkanaście tysięcy listów. Przygotowanie jednego sejmiku wymagało od kancelarii królewskiej napisania przeciętnie około 5 tys. listów. Tytaniczna praca. Proszę sobie wyobrazić – wszystko ręcznie, żadnych kserokopiarek nie było, ani tym bardziej drukarek czy komputerów. Tyle trzeba było napisać i rozesłać takie pisma, a w każdym była jakaś argumen-

tacja – zapraszamy na sejm, będziemy mówili o tym i o tym, bo to są bardzo ważne sprawy, to nam grozi, a tu mamy taką szansę, tu mamy takie możliwości, warto przegłosować podatek w tej sprawie... Albo odwrotnie – senator, który się nie zgadzał z argumentacją kancelarii królewskiej, rozpowszechniał swoje listy wśród szlachty i pisał: broń Boże nie dawajmy na to podatków, bo to tylko zagrozi naszej wolności. Krążyły po kraju dziesiątki tysięcy takich listów.

Oprócz tego oczywiście funkcjonowało słowo żywe, wypowiedane na sejmikach. Sejmików było w Rzeczypospolitej około 60. Spotykało się na nich dziesiątki tysięcy obywateli, i to regularnie – trzy, cztery razy w roku. Obradowano po kilka tygodni. Właściwie była to, można powiedzieć, permanentna demokracja, bo te masy obywateli wielokrotnie w ciągu roku dyskutowały sprawy publiczne, sprawy lokalne swojego województwa czy ziemi, czy powiatu, ale i sprawy państwowe. To była demokracja, jak to się dzisiaj mówi, deliberacyjna, tzn. nad wszystkim dyskutowano, posługując się argumentacją. Jest to – w moim przekonaniu – powód do słusznej dumy, że tak funkcjonował ustrój w Polsce, w Rzeczypospolitej. Zupełnie wyjątkowo w skali Europy.

Ale taki ustrój ma też swoje wady – te właśnie, o których w tej chwili mówimy. Przy pomocy argumentacji demagogicznej można tak przestawić akcenty w tej debacie publicznej, żeby szukać wroga wyłącznie we własnym rządzie, a nie tam, gdzie ów własny rząd wskazuje, czyli na zewnątrz. A zewnętrzne zagrożenia były wówczas bardzo poważne, nie tylko ze strony Turcji, Chanatu Krymskiego czy Moskwy, ale także protestanckiej Szwecji, walczącej o południowe wybrzeże Bałtyku.

„Jeżeli Rzeczypospolita będzie usposobiona pokojowo, skupiona tylko na walce z własnym królem, to sąsiedzi nas nie ruszą” – tego rodzaju założenie, do którego przekonywała część przeciwników króla, było całkowicie absurdałne, fałszywe i zgubne dla Rzeczypospolitej. Najmocniej ujawniło się to w późniejszym już okresie panowania Zygmunta III, kiedy systemową już opozycję stworzyli Radziwiłłowie z linii na Birzach i Dubinkach, czyli z linii kalwińskiej, wywodzącej się od hetmana Krzysztofa „Pioruna”, skądinąd bardzo zasłużonego w wojnie Batorego z Moskwą. Jednak już jego syn Krzysztof Radziwiłł, hetman polny, nie miał żadnych porównywalnych zasług, natomiast konsekwentnie na każdym kroku kontestował wszystko, co król proponował. Od razu wiadomo

Ujście Wisły było ważnym obszarem strategicznym na mapie Rzeczypospolitej. Nic zatem dziwnego, że Gustaw II Adolf, z którym Zygmunt III Waza rywalizował o należną mu dziedzicznie szwedzką koronę, chciał je zdobyć na Polsce. Obraz Józefa Brandta, „Porytka ze Szwedami”. Fot. Wikimedia





Mimo zamiłowania do szwedzkiego stroju król Zygmunt III Waza znakomicie mówił po polsku, do końca życia pozostał także głęboko wierzącym katolikiem. Portret monarchy pędzła Martina Kobera. Fot. Wikimedia

było, że ten najpotężniejszy z Radziwiłłów na Litwie będzie mówił zawsze „nie”. Taka opozycja totalna. Odziedziczył tę „kulturę” polityczną syn Krzysztofa – Janusz oraz jego kuzyn Bogusław, powszechnie znani bohaterowie „Potopu”.

Bezsens takiej opozycji ujawnił się w całej „kрасie” w czasie agresji Szwecji na Rzeczpospolitą w latach 1621–1629. Była to walka o panowanie na Bałtyku, gdzie w stawce był najbardziej podstawowy interes Rzeczypospolitej i dominującego w niej ziemiaństwa. Przy braku dostępu do Bałtyku nie dałoby się przecież eksportować tego towaru, z którego szlachta żyła, czyli zboża. A Radziwiłł mówi: „tu chodzi tylko o ambicje dynastyczne naszego króla, nie dawajmy ani grosza na tę wojnę ze Szwecją, bo jak nie damy żadnych pieniędzy, to przecież Gustaw Adolf nas nie zaatakuje, bo on się tylko martwi o swój tron...”.

Teraz też mamy konflikt graniczny, rozmawiamy o nim codziennie, choć nie wydaje się jeszcze tak groźny jak cztery wieki temu. Wtedy groziła nam wojna z trzech stron: Moskwy, Turcji z Chanatem Krymskim oraz Szwecji. O ile z Turcją

można było zawrzeć pokój, tam sprzeczności miały charakter religijny, ale nie geopolityczny, o tyle z Moskwą i ze Szwecją konflikt miał charakter egzystencjalny. Wiadomo było, że Moskwa naprawdę chce zająć co najmniej połowę terytorium Rzeczypospolitej i żaden car z tego nie zrezygnuje, a Szwecja naprawdę chce opanować południowe wybrzeże Bałtyku, żeby, krótko mówiąc, stać się pierwszą potęgą w tym obszarze, a zarazem siłą wpływającą na losy całej Europy Środkowej. Szwedzki władca Gustaw Adolf miał już od dawna w planach napaść na katolickie kraje niemieckiej Rzeszy. Nie sam jeden Zygmunt III sobie zdawał z tego sprawę. Wielu senatorów jasno widziało, że nie chodzi naprawdę o żadne ambicje króla, tylko o to, żeby obronić Gdańsk, żeby obronić całe Prusy Królewskie, obronić również Prusy Książęce, które były tylko lennem Rzeczypospolitej.

Tymczasem nie tylko kalwiński przywódca opozycji różnowierców, czyli hetman Krzysztof Radziwiłł, ale również katolicki pierwszy senator Rzeczypospolitej, kasztelan krakowski Jerzy Zbaraski, dokładnie tak samo konsekwentnie zwal-

czał wszelkie podejmowane przez obóz królewski próby przygotowania kraju do wojny ofensywnej, żeby skutecznie odeprzeć zakusy Gustawa Adolfa na Pomorze. Zbaraski używał tych samych argumentów co Krzysztof Radziwiłł, a mianowicie: Szwecja da nam spokój, jak my jej damy spokój, my nic nie zrobimy, to wtedy Szwedzi nie będą się nami w ogóle zajmować.

Jerzy Zbaraski nie był specjalnie pobożnym katolikiem. Wprost przeciwnie. Był skrajnym libertynem; pisał do swoich przyjaciół, że broń Boże nie należy się żenić, wygodniej i przyjemniej jest żyć cały czas – proszę wybaczyć, że cytuję – z kurwami. Jakoś nie pomyślał, że tym sposobem jego ród, choć był najbogatszy w Rzeczypospolitej, wygaśnie, nie będzie miał kontynuacji... Ten człowiek, skądinąd znakomicie wykształcony i dowcipny, miał zawsze usta pełne frazesów moralnych, pouczających króla, pouczających Rzeczpospolitą, jak to należy postępować. Kontynuował propagandę Zamoyskiego: król jest głównym zagrożeniem i głównym zagrożeniem są związki króla z Habsburgami.

Tymczasem w latach dwudziestych i trzydziestych XVII wieku Habsburgowie byli jedynym możliwym sojusznikiem dla Rzeczypospolitej, bo przecież nie Moskwa, nie protestancka Szwecja. Ta ostatnia już wtedy wspólnie zabiegała o stworzenie unii przeciwko Rzeczypospolitej. Gustaw Adolf szukał sojuszu z carem Michałem, czyli protestancka Szwecja z prawosławną Rosją, i jeszcze próbowali wciągnąć do tego związku Turcję, co się tylko chwilowo udało. W tej sytuacji Habsburgowie byli, nawet jeśli nie zawsze lojalnym, albo nawet rzadko lojalnym, to jednak jedynym realnym sojusznikiem. Przyznają to wszyscy historycy, nawet ci, którzy nie cierpią Zygmunta III, a raczej – katolicyzmu (bo są też tacy historycy).

Właśnie to przekonanie, że to król i jego polityka zagraniczna są głównym zagrożeniem dla wolności szlacheckiej, skłaniało takich magnatów jak Jerzy Zbaraski do konsekwentnej polityki destrukcji w polityce wewnętrznej. Królowi nic nie powinno się udać – wtedy opozycja będzie górą. Skutki tego były takie, że Gustaw Adolf po kilkuletnim rozejmie zdecydował się uderzyć na nasze praktycznie niebronione wybrzeże. Wcześniej dowiedział się oczywiście, jak przebiegają kolejne sejmy, na których król i jego stronnicy bezskutecznie błagali: trzeba w koń-

cu uchwalić podatki na wojsko, trzeba zbudować flotę, żeby obronić Pomorze, u którego wrót już siedzą przecież Szwedzi, nie wycofają się sami. Każde takie błaganie kończyło się niepowodzeniem wskutek bojkotu opozycji.

Wcześniej Gustaw Adolf wahał się, gdzie uderzyć; myślał głównie o Pomorzu Szczecińskim, by wejść od razu do Rzeszy. W Rzeczypospolitej jednak nastęrczała się znakomita okazja: bezbronny kraj, kraj, który w ogóle nie chce się bronić. W tej sytuacji król szwedzki skierował swoje uderzenie na Gdańsk, najpierw na Prusy Książęce, potem na Pomorze. To dopiero przekonało szlachtę – jak zwykle poniewczasie! – że jednak może warto uchwalić podatki na to, żeby uratować spław Wisłą swojego zboża. Nastąpiła bardzo ciężka, trudna i kosztowna kampania wojenna, w której nie udało się już odrobić wszystkich strat. Spowodowała ją *de facto* antykrólewska demagogia ówczesnej totalnej opozycji.

Mieliśmy wówczas sytuację podobną do dzisiejszej; z opozycją nie da się zrobić czegokolwiek pożytecznego dla kraju, ale bez opozycji też rządzić się nie da. Z opozycją nic się nie uda, bo ma tylko program negacji wszystkiego, co robi władza wykonawcza. Dla zdobycia tej władzy gotowi są spiskować z siłami zewnętrznymi, jak Krzysztof Radziwiłł, który dał się wciągnąć w taki spisek, uknuty przez kardynała Richelieu (dla dobra Szwecji, wspieranej wtedy przez Francję) przeciw królowi Zygmuntovi III, a występował także wobec Moskwy jako troskliwy opiekun prawosławia przeciwko „złemu” królowi... Gdzie jest jakieś wyjście z takiej matni?

Recepta, jaką zostawiają nam tamte czasy, jeżeli w ogóle można mówić o takich receptach, nie jest bardzo efektywna, ale chyba jedyna możliwa: nie wchodzić w sojusze ze złem, nie być naiwnym i wykazywać wielką cierpliwość. Trzeba budować coraz silniejszy własny obóz, nie oglądając się na krytyków. Tak właśnie starał się postępować Zygmunt III – nominacjami podnosił na urzędy państwowe ludzi, na których lojalność mógł liczyć nie tylko on, ale i Rzeczpospolita. Nie mógł np. przez dłuższy czas nominować hetmana wielkiego na Litwie, bo jedynym kandydatem, wydawało się, był Krzysztof Radziwiłł, a gdyby on został hetmanem wielkim, mógłby bojkotować – stojąc na czele armii całego Wielkiego Księstwa – każde posunięcie króla jeszcze skuteczniej. Zygmunt III wolał więc utrzy-

mywać wakat niż mianować wroga, niż wciągać go do swojego obozu, nie mając żadnej gwarancji, że będzie lojalny.

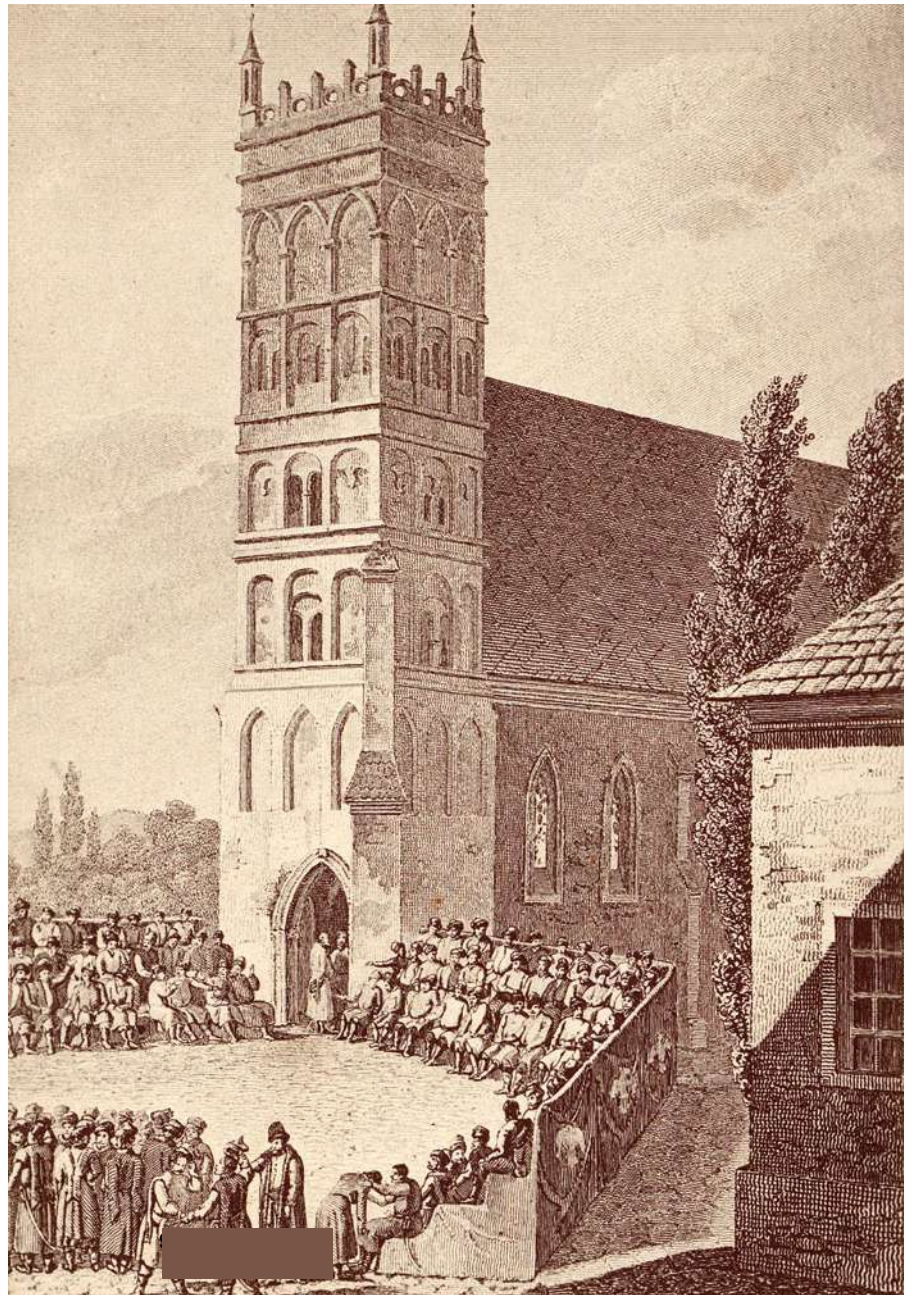
Król wykazywał cierpliwość, ale i aktywność, bo bez niej sama cierpliwość będzie mało przydatna. Stopniowo poszerzał obóz własny, uszczuplając możliwości destrukcyjne opozycji – oczywiście nie prowokując wojny domowej, bo wojna domowa jest dla Rzeczypospolitej zabójcza. Pod koniec swego panowania Zygmunt III przekonał większość obywateli, że ma rację. Także bardzo duża część posłów głosowała już wtedy roztropnie, nauczona na własnych błędach.

Do tego potrzebne było długie panowanie. To jest też jakaś analogia do naszych czasów. Za jedną czy za dwie kadencje nie za wiele się zbuduje. W Rzeczypospolitej nie da się niczego dokonać niecierpliwie...

Jakże często jednak się niecierpliwimy, widząc zdrajców chodzących w gorlii patriotów i *vice versa*, patriotów oskarża-

nych o zdradę. Potrzebne są silne narzędzia przekonywania opinii publicznej do prawdy, narzędzia, które będą nie mniej skuteczne niż setki tysięcy pism rozsyłanych po kraju i permanentne obrady sejmików w czasach, które opisuję w V tomie „Dziejów Polski”. Tego nam wciąż brakuje.

Konieczna jest też jednak większa surowość wobec zdrady, bo ta XVI- i XVII-wieczna tolerancja dla haniebnych poczynań sprzedawczyków i prywatnych obrosła tradycją, szerząc atmosferę bezkarności – aż do targowicy. Nie dajmy sobie wmówić, że nie ma wokół nas zagrożenia. Trzeba przekonać obywateli do sensu starożytnej łacińskiej sentencji *si vis pacem, para bellum*, chcesz pokoju, szykuj się do wojny. Ale również pamiętać o tej: *tantum intende in Republica, quantum tuis civibus probavi possis*, czyli – tyle zamierzaj w Rzeczypospolitej, ile potrafisz przekonać obywateli. Przekonujemy zatem skutecznie – to zadanie numer jeden. ■



Przekonanie obywateli do swojej linii politycznej, choć był to bardzo żmudny proces, było jednym z sukcesów Zygmunta III Wazy. Rycina ze zbiorów hrabiego Edwarda Raczyńskiego przedstawiająca sejmik szlachecki przed kościołem w Środzie. Fot. wbc.poznań